

WIECZÓR W SULEJÓWKU

*Rękopis tej relacji z rozmów w Sulejówku *) znajduje się w moim posiadaniu. Autorką jej jest osoba dobrze mi znana, uczestniczka walk pierwszej brygady.*

MICHAŁ SOKOLNICKI

W tej chwili zawołano nas na wieczernę. Zerwałam się przerażona:

— Któraż to godzina? Ja muszę przecież wracać...

— Dziewiąta już, w tej właśnie chwili ostatni pociąg odchodzi — Ola uśmiechnęła się łagodnie nad moim zakłopotaniem. — To nic, Zośko, nie straszno. Przenocujecie u nas...

Znany z wojennych czasów, nieoceniony spokój Oli zapanował wkrótce nad moimi skrupułami.

— Mamy dziś na kolacji — mówiła — wszystkich naszych oficerów, bo dwaj z nich wyjeżdżają jutro... Poczciwi to chłopcy, używają w ten sposób swych urlopów i jeszcze są tym uszczęśliwieni...

Za nakrytym ślicznie stołem stali rzędem czterej młodzi oficerowie — wszyscy mieli na piersiach Virtuti Militari.

— Aha, więc to są owe „wariaty” — pomyślałam, gdy mi ich przedstawiono. Posadzona znów obok Komendanta, czułam się jak we śnie — po przelotnym złudzeniu, że już — już mam się obudzić.

Ordynans podał półmisek najpierw Komendantowi, a on mnie go podsunął, naturalnym gestem uprzejmego gospodarza. Lecz widząc moje zmieszanie, zaczął nabierać jednocześnie z drugiej strony... Mówiąc przeważnie do mnie, nawracał do przerwanej rozmowy historycznej. Czułam, że nie może się oderwać od postaci Napoleona. Czy było to umiłowanie?

Wychodził z niego raczej podziw niż ciekawość. Nie dał żadnej oceny, ani charakterystyki, ale w kilku zdaniach zaznaczył silnie niektóre rysy. Mówiąc o twórczości umysłowej i o wartości pracy Napoleona, dał nam zupełnie plastyczne pojęcie dysproporcji zachodzącej pomiędzy nim, a całą resztą ludzi. Napoleon sam to obserwował, że mierząc własną miarą żąda od swych podwładnych o wiele za dużo i że współpraca z nim wyniszcza ich niemilosiernie... Po czym za-

kiego wydała mi się przemiana w dziedzinie snów:

— Więc jednak — rzekłam — skoro przychodzą czasem sny symboliczne, to dowód, że zawsze pozostaje jeszcze coś nieopanowanego wola...

— Oczywiście! Ale ta granica przesuwana się u mnie znacząco dalej poza linię normalną. Jest to jakby rozszerzenie osobowości.

Spojrzałam na oficerów. Siedzieli wszyscy jak zahipnotyzowani, z głowami obróconymi w jedną stronę, zapatrzeni i zasluchani. Zwłaszcza na jednej, młodziutkiej szczupłej twarzy smagłego bruneta malował się taki zachwyt, że się uśmiechnęłam z pełnym zrozumieniem. I pomyślałam wtedy: jak ludzi zdobi, jak cudownie przetwarza zapatrzenie się w coś lub kogoś wyższego...

A Komendant znów powracał do Napoleona, przytaczając tym razem kilka jego dosadnych określeń. Kiedy przy jednym z nich, dosyć nieprzyzwoitym, spuściłam odruchowo oczy...

— No, niechże się pani nie rumieni! — zawołał — to jest żołnierski humor, a pani przecież też była żołnierzem. Bo trzeba wam wiedzieć, moi pan-



Komendant Józef Piłsudski w okopach w 1915 r.

(Rysunek Czermańskiego)

— Tabor? Jakim cudem? — dziwiłam się. — Gdy się idzie naprzód, to chyba tylko kawaleria może wejść w kontakt z wchodzącym nieprzyjacielem?

— Ano, oczywiście... Ale widzi pani, na wojnie dużo dzieje się nie tak jak być powinno, nie tak jak powiada taktyka, strategia, regulaminy... Dopiero po jakimś czasie człowiek się tego uczy na własnej skórze. Choćby na przykład, nasze ubezpieczenia marszowe! Chłopcy, pamiętacie?

Oficerowie zaśmiali się zgod-

nie, porozumiewawczo, rzucając jeden przez drugiego nazwy różnych miejscowości.

— Choćby wychodząc z Kielc — powiedział Komendant — byłem w rozpacz, widząc swój własny marsz, taki strasznie nieregulaminowy! Zwłaszcza na widok taboru schwyciłem się za głowę! Taki tabor wystarczyłby na całą brygadę... Przekładałam to Moraczewskiemu, ale ten spogląda na mnie z oburzeniem. Bo jakże tu zostawić te wszystkie skarby nagromadzone w ciągu całego pobytu? Wzruszyłem ramionami i zacząłem rozmyślać nad ubezpieczeniem. Moskale blisko, czas nagli: chcą wystawić ubezpieczenia boczne, opóźniłbym marsz o kilka godzin. Jechałem więc, zrezygnowany, obok mojej nieprzepisowej kolumny, dziwiąc się mocno, dlaczego właściwie dotąd nas nie napadnięto. Kilkakrotnie później miałem podobne marsze i rzecz szczególna, nigdy się to źle nie skończyło. Rozmawiając kiedyś o tym z jednym z najlepszych oficerów, usly-

szam, że w polskim wojsku zabezpieczenie byłoby tylko pustą formalnością... Zagadnęłam, czy podświadomość może odegrać w tym swoją rolę? — No tak, tak — mówił Komendant, tonem dobrodusznym. — Ale już zawsze bezpieczniej kierować się rozsądkiem! Jednak ostatecznie pomiędzy teorią a praktyką zawsze wielka jest różnica, i nieraz potem z żalem wspominałem te szereg strzelców „spalonych” przeze-

bezpieczeństwie; byłabym głowę dała za to! Aż tu tymczasem, jak spod ziemi, zjawiają się Moskale, i to z działami...

Aż twarz mi piekła ogniem, jak niegdyś, przy składaniu raportów...

Komendant dobrotliwie położył mi dłoń na ramieniu:

— Nic w tym dziwnego — wyrzekł spokojnie — bo ta brygada jazdy przyszła lasami z Solca — i wyście nie mogli nie o tym wiedzieć. Byliby nas nakryli w Kielcach, zupełnie nieprzygotowanych, gdyby nie je-

den szpieg niemiecki, który przypadkiem zobaczył ich nadjeżdżających i przyleciał z wiadomością do szefa.

— Nie mogę jednak przeboleć, że Prusak to wiedział, a myśmy przegapili...

— Nie było mnie wtedy z wami, niestety — Komendant snuł dalej nić wspomnienia, trochę marząco. — Dościsnąłem was 13-go w Chęcinach... A potem Bolmin! Pamięta pani ten dzwaczny dwór?

— Chyba trudno było by zapamiętać! Rodzaj zamczyska...

— Tak, tak! Osobliwa architektura. Właściciel tego dworu i cała gromadka zebranych tam pań, wszystko to przyjęło nas z pewną rezerwą, chłodnawo. Trudno: prawo wojny! Więc dawano nam, czegośmy żądali, ale serca tam się nie czuło. Właśnie staliśmy wszyscy na werandzie, gdy nadbiegła młodziutka paniątka, może piętnaście lat, cała rozogniona, z nowiną, że tyle, tyle polskich żołnierzy dookoła dworu! Przwietała jej wybuchem...

ni, a ona się z nimi targuje — głos jej zadrażał oburzeniem i wstydem. — Ja dlatego właśnie przybiegłam, bo od nich przecież nie można brać pieniędzy!...

Stała tam biedactwo, w poczuciu swego osamotnienia, patrząc buntowniczo to na ojca, to na matkę, zaciskając pięści i powtarzając namiętnie ze łzami w oczach: „Nie można! Nie wolno! Ani kopiejkę!” — „Dobrze, dobrze, dziecko — upominała matka, z grymasem niesmaku. — Można nie brać, ale czego ty

je figle!” — I — rzecz dziwna — powtarzałem tę samą psotę parę razy na miesiąc, a sposób reagowania szefa był za każdym razem ściśle ten sam.

— I nigdy się to Komendantowi nie znudziło?

— Nie, wcale! — zawołał, zanosząc się od śmiechu na samo wspomnienie.

Może pod zaraźliwym wpływem tej wesołości przypomniało mi się teraz ten sam.

— Czy Komendant pamięta tę awanturę, którą mu raz urządziłam? — zapytałam, zbierając całą odwagę.

— Którą? — śmiał się dalej. — Przecież pani wyczyniała tyle awantur, że trudno wiedzieć, o której mowa.

— Mogłam ich wiele narobić w życiu, ale Komendantowi — tylko jedną i to przez pomyłkę...

— Ach, mnie! Nie dosłyszałam — i zamyślił się trochę poważniej. — Nie, nie przypominam sobie.

— A pamięta Komendant Jakubowice błotniste?

— No oczywiście! Październik 1914... Ofensywa...

— Tak, tak, a kwatera oddziału wydawczego w pewnej chacie przy drodze, z ganeczkiem... A był tam Komendant u Świętopelka, prawda?

I opowiadałam, jak to skłamałam — żołnierskim słownikiem — samego Komendanta przez drzwi zamknięte, myśląc, że się dobija któryś ze skautów, kwatrujących obok. Komendant śmiał się wraz z „wariatami”, a zaraz potem udał obrażonego:

— Ja panią za to na baczność postawię! — zawołał.

— Już nie potrzeba, Komendancie, bo ja sama siebie tak właśnie postawiłam, i stałam, jak w słup soli zamieniona, dopóki Komendant nie zniknął z oczu.

Niemcy byli całkiem uprzejmi. Najbardziej męczył brak wieści z kraju...

Jakim sposobem rewolucjonści uwolnili Komendanta? — zapytałam.

— To nie byli rewolucjonści. Już od paru dni wiedzieliśmy z szefem, że się na coś zanosi, ale nie przypuszczaliśmy, że to spadnie tak gwałtownie... Wchodzi nagle jakiś cywilny pan, legitymuje się nam jako oficer pruski i każe iść za sobą. Chcemy się pakować, on nie pozwala, tłumaczy, że zbuntowa-

nie było można. Nasi opiekunowie zaczęli coś kręcić, ale ja postawiłem kwestię ostry: czy ostatecznie jestem już wolny, czy nie? Bowiem brak broni w tych warunkach równał się zamknięciu. Oficerowie zapewnili mnie uroczyście, że jestem wolny, że dziś jeszcze dostarczą „Seitengewehr”... Czekałem więc, a szef w cywilu wyszedł na ulicę. Przyniósł mi wiadomość, że Berlin jest całkiem spokojny, o przewrocie ani mowy i że jutro o 5 po południu specjalnym pociągami mamy jechać do Warszawy. Mimo to zgłosił się do nas Lerchenfeld z tym, że on jedzie jeszcze przedtem i może od nas zawieźć wiadomości, czy polecenia obecnym władzom polskim. Podziękowaliśmy mu za to, zaznaczając wyraźnie, że pośredników nie potrzebujemy, a Polska dowie się o mnie, gdy powrócę. Lerchenfeld przeproszał, mocno skonsternowany; i jemu szło widocznie o to, by dla ancien régime'u nawiązać stosunki dyplomatyczne w tych ciężkich chwilach. Dopiero nazajutrz przyniósł mi jeden z „naszych” oficerów swój własny bagnet, dowodząc, że innego nigdzie nie mógł dostać. A właśnie był już czas iść na obiad, wydany na naszą cześć, zdaje się, że w magistracie. Był tam Lerchenfeld. Fetowano nas i komplementowano ogromnie. Nastrój był całkiem spokojny, gdy wtem wpada kelner, błady jak ściana z okrzykiem: „Die Revolution ist ausgebrochen!”

Robi się zamieszanie... Błagają mnie, abym z bronią nie wychodził na ulicę. Otrząsam się... Wybiegamy z szefem, na wszystko przygotowani... Tymczasem na ulicach spokój, ruch prawie normalny, tylko kłopotem jeżdżą ciężarowe auty z żołnierzami z czerywon-

ymi. Wtedy się zaczęło. Znamy „legionową” Pierwszą raz w życiu, tak sielankową rewolucję, cając do hotelu, byłem świadkiem rozczulającej sceny: jakaś gruba stara służąca odpruwała epolety młodemu żołnierzowi, zalewając się przy tym łzami. Zapytałam ją o powód tych łez, myśląc, że tu spotkam się z jakimś uczuciem antyrewolucyjnym. „Unsere Kerle werden zurück” — wykrztusiła babina z uniesieniem radości, rzucając się żołnierzowi na szyję. Wyjazd nasz opóźnił się, ale wy-

to obserwowal, że mierząc własną miarą żąda od swych podwładnych o wiele za dużo i że współpraca z nim wyniszcza ich niemilosierdzie... Po czym zaczął mówić o własnej metodzie pracy:

— Jeżeli moja praca jest tak wydajna, to przede wszystkim dlatego, że pracuję bardzo dużo podświadomością. Po prostu rozporządzam dowolnie całą rozległą dziedziną, która dla większości ludzi jest niedostępną.

— Jakże się to robi? — zapytałam.

— Bardzo trudno to opisać. Faktem jest, że ja potrafię rzucać mojej podświadomości całkiem określone zadania, które ona opracowuje, podczas gdy ja myślę o czym innym, bawię się z dziećmi, a nawet śpię. Dlatego też nie wiem nigdy snów, chyba symboliczne i to bardzo rzadko. To tak jakgdyby jakaś doskonalsza część podświadomości uwalniała się spod mojej władzy i przychodziła ostrzegać mnie. Najczęściej dokonuje się ta robota podświadoma wtedy, gdy godzinami chodzę sobie po pokoju, tam i na powrót. A potem nagle jakiś na przykład projekt wojskowy przychodzi do mego mózgu już gotów, niemal wykończony w szczegółach. Pozostaje tylko skontrolować go, trochę poprawić. A jednak to szalenie męczące... Rozmawiałem o tym z pewnym mądrym psychiatrą. Powiedział mi on, że to niebezpieczna droga, z której zawrócić już nie można. Ale ja się z tego śmieję — rzucił wesoło.

Najciekawsza z tego wszyst-

Kamendant Józef Piłsudski w okopach w 1915 r.

(Rysunek Czermańskiego)

wie, że ta niewiasta to wasz kolega z I brygady!

Teraz zarumieniłam się jeszcze mocniej, a rozmowa naturalnie wpadła w ulubiony tor wspomnień wojennych, potoczyła się jak niepowstrzymana fala, ożywiając i jednocząc całe towarzystwo. Nawet usługujący nam ordynans nadstawił uszu, a „wariaci“ poczęli coraz śmielej się odzywać.

Komendant opisywał nam szeroko swoje samowolne oderwanie się od Austriaków w Wolbromiu, podczas bezładnego odwrotu w listopadzie 1914. Mówił tak barwnie, że się po prostu widziało te niebieskie kolumny upadające ze znużenia, te drogi błotniste zaścienione końskimi trupami, ten Wolbrom zapchany do ostatniego kąta nieprawdopodobną ilością zdemoralizowanych pułków i baterii. Żywo odczuliśmy wdzięczność, że się odłączył od tej hołoty, idąc sam wśród jesiennej nocy naprzeciw niezbadanego nieprzyjaciela, oparty jedynie na bagnietach swych nieustraszonych chłopców. „Die Strzelzen singen“ — mówili z podziwem Austriacy, wsłuchując się w echa ich pochodu, bezsilni już wobec tego odstępstwa, mając ich za straconych... Jakież było później ich zdumienie, gdy ich ujrzeli w Krakowie całych i zdrowych! A przedtem jeszcze w tym całym odwrocie, w środek cofającej się armii wpadł nagle dość duży tabor rosyjski i narobił okropnego zamieszania.

kierować się rozszkakiem! Jednak ostatecznie pomiędzy teorią a praktyką zawsze wielka jest różnica, i nieraz potem z żalem wspominałem te szeregi strzelców, „spalonych“ przeze mnie na oficerskim egzaminie, dlatego tylko, że nie umieli poprawnie recytować zasad regulaminu o ubezpieczeniach i o taborach! A na cóż im się zdążyły te zasady na wojnie?!

Komendant pogrążył się znowu w legionowych wspomnieniach.

— W sierpniu 1914 siedziałem sobie w Kielcach jak król, dzięki wam, moje panie! — tu zwrócił się do mnie. — Tak jest: Niemcy i Austriacy straszili mnie ciągle, że Moskale tuż-tuż, radzili uchodzić co prędzej, a ja mogłem się z nich śmiać, dzięki tym paniom — objaśniał poważnie oficerów — gdyż one jeździły setki wiorst naprzód i na boki, objęły wywiadami cały teren ku Warszawie i codzień prawie dosyłały mi raporty, z których wiedziałem najdokładniej o zamysłach i siłach nieprzyjaciela. No tak; i dzięki beliniakom, którzy w kilkunastu jeszcze wówczas, robili sobie z siedzeń kotlety, przebywając po 40 kilometrów dziennie we wściekłych wywiadach po najbliższej okolicy.

— Jeżeli Komendant tak dobrze mówi o naszej służbie, to muszę jednak przypomnieć, że przed bitwą kielecką, 12 sierpnia, mimo najlepszej woli, spisałyśmy się fatalnie!

Popatrzyłam na mnie badawczo: — Dlaczego fatalnie?

— Ja sama wróciłam wtedy z Suchedniowa, wiedziałam niby wszystko, co się działo aż po Radom i zapewniałam o zupełnym

na matkę, zachęcając ją do powtarzając namiętnie ze łzami w oczach: „Nie można! Nie wolno! Ani kopiejki!“ — „Dobrze, dobrze, dziecko — upominała matka, z grymasem niesmaku. — Można nie brać, ale czego ty się tak przejmujesz?“ A ja wiedziałem dobrze, dlaczego i byłbym chętnie chwycił w objęcia to kochane stworzenie i ucałował...

W tej chwili zdjęłam szkła, aby je przetrzeć.

— Pani jest bardzo krótkowzroczna? — zagadnął Komendant, przyglądając mi się.

— Ostatecznie, aby nie widzieć wyrazu twarzy sąsiada, a to bardzo przeszkadza w rozmowie. Ale chodzę czasem i bez szkielek, więc nie nabieram tak błędnego wzroku, jak na przykład nasz szef, który zdaje się, nie mógłby egzystować bez swego cwikiera!

Komendant zaśmiał się serdecznie:

— Ach, ten jego cwikier! Ileż mi on dał chwil rozkosznych! Najczęściej na kwaterach spaliłmy obaj w jednej izbie. Szef, położywszy się, kładł swój cwikier tuż obok łóżka i wkładał zaraz po przebudzeniu. Otóż zdarzało się czasem, że mnie coś podkusiło, gdy on usnął, przełożyć mu to na inne miejsce. Szef spał zwykle dłużej ode mnie, mogłem zatem obserwować dowolnie całą rozpaczliwą scenę: ledwie oczy otworzył, już sięgał po szkła; nie znajdując na zwykłym miejscu macał ręką coraz niespokojniej, wreszcie siadał na łóżku, kompletnie bezradny, wykonując szereg bezładnych, a gwałtownych ruchów. Dopiero mój śmiech go uspokajał, ale i oburzał zarazem: „Ach Ziuk! To znowu two-

spadnie tak gwałtownie... Wchodzi nagle jakiś cywilny pan, legitymuje się nam jako oficer pruski i każe iść za sobą. Chcemy się pakować, on nie pozwala, tłumaczy, że zbuntowany lud może się tu wedrzeć łada chwila... Nie ma czasu do stracenia, rzeczy odeszły nam później. Ni mniej ni więcej, trzeba nam jechać natychmiast do Warszawy, biorąc ze sobą tylko ręczny mały pakuneczek. Szef miał jakiś neser, ja zwiżam pospiesznie w gazetę najkonieczniejsze przedmioty i ruszamy piechotą, wymykając się z więzienia chyłkiem, za przewodem tego przebranego oficera. Za jakimś rogiem czeka na ulicy auto. — Szoferem był też oficer — i jedziemy do Berlina.

— Po co oni was tak gwałtem wykradali?

— Zależało im widzieć na tym, aby rząd rewolucyjny nie miał zaszczytu i przyjemności uwalniania ważnych więźniów politycznych. Uważali to za jakiś atut w grze. Obaj oficerowie byli dla nas przegrzeczni, doskonale wychowani zresztą, ale niedwuznacznie objawiali swoją wściekłość na rewolucję. Wieźli nas jakimiś bocznymi szosami, aby omijać miasta, gdzie się już dokonała zmiana rządu. Uszczęśliwieni byli, dowiedziawszy się, że w jednym z nich jest jeszcze „ancien régime“. I tak, w lepszych już humorach dowieźli nas do Berlina, gdzie zdeponowali w pierwszorzędnym hotelu. Aż wstyd mi było w tych wspaniałych apartamentach rozpakowywać moje gazeciane zawiniątko... Zażądałem „Seitengewehr“u, bym mógł wyjść na miasto, gdyż byłam w mundurze i bez broni pokazywać się

myśląc, że tu spotkam się z jakimś uczuciem antyrewolucyjnym. „Unsere Kerle werden zurück!“ — wykrztusiła babina z uniesieniem radości, rzucając się żołnierzowi na szyję. Wyjazd nasz opóźnił się, ale wyjechaliśmy jednak pociągami, pomimo przewrotu, prosto z rąk

Premumerujcie TYDZIEŃ POLSKI

naszych opiekunów, w asystencji słynnego później Kesslera...

Swoim zwyczajem, Komendant uciął nagle rozmowę, zaczął się żegnać i zaraz poszedł do siebie, na górę. Było już po północy. Pomagałam właśnie Oli, gdy raptem wpadł Moraczewski i zaraz poszedł na konferencję do Komendanta.

— On jeszcze ma siły rozmawiać — pomyślałam z podziwem.

Obliczałam, że ze mną rozmawiał całe dziesięć godzin. Czulałam, że mnie każdy nerw boli od szalonego napięcia uwagi. Wiedziałam bowiem, że trzeba zapisać później każde niemal jego słowo, a nie poniżyłabym się do robienia notatek w jego obecności...

Około pierwszej godziny w nocy zasypiałam na kanapie w gabinecie, słysząc jeszcze chwila mi stłumiony gwar dwóch mężczyzn, rozlegające się przez sufit, właśnie nad moją głową.

Nazajutrz wyjeżdżałam w pośpiechu...

*) Vide: „Poranek w Sulejówku“ „Tydzień Polski“ nr. 4 z dnia 27 stycznia r. b.) i „Obiad w Sulejówku“ („Tydzień Polski“ nr. 5 z dnia 3 lutego r. b.).